Służąca i królowa

I

Jaki piękny pogrzeb, wzdychali goście.

Pozazdrościć, pozazdrościć.

Jakie życie, taki pogrzeb.

I jeszcze inne odarte z sensu i bezduszne słowa unosiły się nad długimi ławami, przy których zasiedli dostojnicy i poddani, książęta i żebracy. Tego dnia każdy miał prawo posilić się przy królewskim stole. Jedli potrawy, które przygotowałam, pili wina, które wskazałam podczaszemu, wycierali zatłuszczone usta i palce w serwety, które prasowałam całą noc. Najpierw – niewidzialna, lecz wszystkowidząca – chodziłam między ławami, czujnym wzrokiem ogarniając salę tronową i drzwi wiodące przez antyszambrę na dziedziniec. To wskazałam, gdzie donieść chleba, to gestem uciszyłam rozgadaną posługującą, to szepnęłam muzykom, by przyciszyli nagłośnienie i stonowali światło hologramowych obrazów na zamkowych ścianach. Ale tylko dla spokoju własnego sumienia, bo wszystko toczyło się tak, jak powinno i nikt oprócz mnie nie zauważył drobnych uchybień. Napięcie poprzednich tygodni i rozpacz porannego całopalenia znajdowały teraz oczekiwane ukojenie. Nastrój wygładzał się i formował w pożądany kształt jak przędza zmieniana w nić przez kołowrotek; słowa, smaki i zachowania nawijały się na szpulę obyczaju pod moim czujnym okiem. Obeszłam salę, antyszambrę i dziedziniec trzy razy, potem wróciłam na swoje miejsce obok milczącej królowej. Blada i wyprostowana, siedziała na samym brzeżku królewskiego tronu. Nic nie jadła, a ja jej nie karmiłam, uznałam, że to nie przystoi na uczcie. Wychudła i pobladła, ale wciąż była bardzo piękna, wielu szeptało, że nawet jeszcze piękniejsza niż zwykle. Olśniewała nieskazitelną skórą, posągową figurą, głębią czarnych oczu. Przy niej byłam odrażająca jak plama, jedna z tych, które musiałam sczyścić z królewskiego łoża śmierci. Serce mi załomotało – nie spałam od kilku tygodni i ciało nie chciało się już godzić na ostatni wysiłek – sala zawirowała przed oczami, słowa i muzyka zlały się w drażniący, niezrozumiały hałas. Poczułam, że rozstaję się ze swoim ciałem, a moja świadomość ulatuje pod sklepienie, pozostawiając na dole całą tę żałość i gorycz; jeszcze chwila, a wpadnę w panikę, otworzę usta i wrzasnę, żeby przywołać siebie samą z powrotem. Mocno uchwyciłam się stołka, na którym siedziałam, żeby jakoś przytrzymać się rzeczywistości. Skupiłam wzrok na jabłku, leżącym na skraju najbliższej ławy i modliłam się, by nikt go nie chwycił – na szukanie innego punktu zaczepienia nie miałabym siły. I udało się. Powoli, wdech za wydechem, wracałam do równowagi. Spojrzałam na królową, nic nie zauważyła, niewidzący wzrok dalej miała wbity gdzieś w przeszłość, niedaleką jednak, bo przecież była bardzo młoda.

Stary król do końca pogodnie wierzył, że śmierć nigdy nie stanie się jego udziałem, królowa zaś tę wiarę podzielała. Umierał, głęboko przekonany, że zasypia, a jutro obudzi się pełen sił. Domagałam się od dowódcy gwardii królewskiej i od lekarzy, by z nim porozmawiali, wyjawili prawdę i pozwolili pożegnać się z żoną i ze światem. Odmówili, przerażeni i zgorszeni. Oni również nie wierzyli – nie chcieli wierzyć

– że ktoś tak potężny i dobry jak nasz król może – musi – umrzeć. Nie wierzyli do samego końca i długo po nim. Królowa czekała siedem dni na przebudzenie swego męża. To ja wreszcie siłą oderwałam ją od cuchnących zwłok. Wyła jak zwierzę, kiedy mężczyźni niepewnie zbliżali się do martwego króla, podnosili jego ropiejące powieki, osłuchiwali milczące serce w zapadającej się klatce piersiowej, a potem zaczęli go owijać w prześcieradła. Wyrywała się z moich objęć, póki ciało męża nie zniknęło pod ostatnim zawojem. Wówczas opadła z sił, ale nawet wtedy jej nie puściłam. Bałam się, że jeśli znów się do niego zbliży, już jej nie oderwę, każe się z nim spalić i nikt nie będzie umiał się jej sprzeciwić.

Wszyscy pogrążyli się w żałobie, tylko mnie nie przysługiwał ten przywilej. Ktoś przecież musiał wydawać polecenia kucharkom, ktoś musiał zasłonić wszystkie lustra białymi płachtami, ktoś musiał wyczyścić królewskie łoże, ktoś wreszcie musiał się zająć organizacją uroczystości. Królowej doglądałam jak dziecka – karmiłam, myłam, kładłam spać i budziłam. Inni, z szacunku dla jej bólu, pozwoliliby jej umrzeć z głodu i zgryzoty. Nikt nie pytał, czy podołam, wszyscy z wdzięcznością i ulgą, ale milcząco, przyjmowali moje zarządzenia. Nikt nie pytał, co czuję, kiedy wysyłam w świat posłańców z wiadomością, że umarł. Zresztą – odpowiedziałabym, że nic nie czuję. I że tak, podołam, bo nie mam wyjścia. Rozpaczliwa bezsilność nie jest przywilejem służących. Nocami, kiedy znużeni szlochem mieszkańcy dworu zapadali w sen, leżałam w swoim wąskim łóżku, wpatrywałam się suchymi oczami w ciemność i rozważałam, czy nie powinnam zejść do piwnic, gdzie złożono ciało, pożegnać się z nim, coś mu powiedzieć. Nie znajdowałam w sobie jednak żadnych słów. Rano wstawałam i znów szłam do świata, któremu służyłam, nie dostając nic w zamian. Nawet na pogrzeb nie mogłam pójść, musiałam przecież nadzorować przygotowania do uczty. Z okna patrzyłam na tłum żałobników podążających za mury miasta, by oddać hołd ukochanemu władcy. Od ich bólu oddzielała mnie podwójna szyba. Nagle zatęskniłam za tym, by znaleźć się tam, pomiędzy nimi, wyjść na błonia, podejść tak blisko, by poczuć żar bijący od stosu. Może on pomógłby mi wreszcie zapłakać. A może uwiódłby mnie na tyle, że wspięłabym się na stos i położyła obok króla, wreszcie – bezwstydnie i ostatecznie – zajmując miejsce u jego boku. Ale gdybym tam poszła, moje miejsce byłoby przy królowej, musiałabym ją podtrzymywać i cucić z omdleń, znów dla mnie nie wystarczyłoby żałoby. Kiedy w niebo wzbił się czysty ogień, odwróciłam się i zaczęłam wysuwać z pieca rożna z prosiętami i kurczętami. Nikt nie zauważył, że na lewym policzku został mi płomień, a i ja spostrzegłam go dopiero po kilku dniach, przy zdejmowaniu chust z luster.

Uczta nawet nie zbliżała się do końca, a królowa już słaniała się na brzeżku tronu. Myślałam, że znowu omdleje, zerwałam się więc ze stołka i objęłam ją ramieniem. Goście ze wzniesionymi kielichami śpiewali razem z muzykami, najedzeni i rozluźnieni, poddawali się pogodnej melancholii pieśni. “Możemy iść” szepnęłam królowej. Nie wiem, czy usłyszała, ale uległa moim ramionom i pozwoliła się wyprowadzić z sali tylnym wyjściem. Skinęłam podczaszemu, gestem dał znać, że wszystkiego dopilnuje.

Następnego dnia królowa nie chciała wstać. I następnego, i jeszcze następnego i przez kolejne dni. Leżała w łożu, w którym umarł król, w oczach miała pustkę. Karmienie stało się trudniejsze, bo, poprzednio giętka i poddająca się poleceniom, teraz zesztywniała. Wszyscy wokół szeptali, że powinniśmy być wyrozumiali. Był jej mężem, ojcem i panem, trudno, by ból takiej straty szybko minął. Może, gdyby mieli dzieci, szeptały szwaczki nad nowymi, prostymi i ciemnymi sukniami dla młodej wdowy, byłoby jej łatwiej, miałaby dla kogo żyć. Może, gdyby go tak bardzo nie kochała, szeptały między sobą młode mężatki na targu, byłoby jej łatwiej, wzięłaby sobie kochanka i ukoiła tęsknotę. Może, gdyby wiedziała, co to odpowiedzialność, tłukło się gniewnie po mojej głowie, byłoby jej trudniej i wzięłaby się w garść. W końcu jednak zrozumieliśmy, że rozpacz królowej nie jest zwykłą żałobą i że nie znamy na nią lekarstwa. Do troski o nią zaczął się wkradać niepokój o nas samych i o królestwo. Instynktownie czuliśmy, że pusty tron nie jest gwarantem naszego bezpieczeństwa. Wedle prawa, to królowa powinna na nim zasiąść,

ona jednak wciąż leżała w swojej komnacie i nic nie dawało nadziei, że kiedyś wstanie. Królestwo sąsiadujące z nami na zachodzie nie stanowiło niebezpieczeństwa, rządziła nim siostra starego króla i wedle prawa, po śmierci naszej bezdzietnej królowej któreś z jej licznych dzieci zasiądzie na naszym tronie. Od północy przed nieznanym chroniły nas góry, od wschodu i południa – morze. Stary król bał się wody i za jego panowania stocznie podupadły; podobno kiedyś na morze wypływały wielkie łodzie z napędem atomowym, pozostały po nich jednak tylko legendy. Nie lubił również wysokości i samoloty od setek lat rdzewiały na starodawnym lotnisku. Żaden z marynarzy i żaden z lotników nie pozostawił świadectw ze swoich podróży, o ile faktycznie je odbywali. W królestwie wszystko nadal toczyło się jak zawsze, wyznaczonymi przez tradycję i doświadczenie torami. A jednak, kiedy stało się jasne, że po roku żałoby królowa nie jest w stanie podjąć swoich obowiązków, w naszych sercach na dobre zagościł lęk. Taki lęk zawsze staje w obliczu swojej przyczyny.

Stało się to rok po śmierci starego króla.

Napadli na nas w biały dzień, w samo południe. Nikt nie widział, jak nadciągali. Dopiero kiedy rozpostarli skrzydła tuż nad naszymi głowami, rzucając nieznany cień, zobaczyliśmy wreszcie, czego baliśmy się od roku. Nie istnieli nawet w naszych legendach, a teraz z przerażającą precyzją pikowali na dachy naszych domów, na place i ulice naszego miasta, na nasze pola. Wszystko odbyło się w ciągu kilku minut, bo nijak nie mogliśmy się bronić, samą swoją niezwykłością mrozili krew w żyłach. Straty nie były więc wielkie, poddaliśmy się bez walki, a oni nie pragnęli krwi, tylko władzy. Ale o tym dowiedziałam się dopiero później. W chwili ataku byłam u królowej, zaniosłam jej obiad i jak codziennie, cierpliwie namawiałam ją do przełknięcia kolejnych kęsów. Ogłuszający szum przyciągnął mnie do okna, wstałam z talerzem w rękach i wyjrzałam na dziedziniec. Ale dziedzińca nie było, nieba nie było. Wielkie łopoczące skrzydła, pomiędzy nimi ciemne ludzkie twarze, ręce uzbrojone w miecze i opierzone tylne łapy z potężnymi pazurami. Skamieniałam, talerz wypadł mi z rąk i rozbił się na posadzce. Szyba rozsypała się na tysiąc kawałeczków, szum i trzepot przybrały na sile, potężny podmuch cisnął mną w głąb sypialni; do komnaty z drapieżnym świstem wleciał ich król. Skrzydłem odepchnął mnie w kąt i rzucił się na królową. Oniemiała patrzyłam, jak zdziera z niej suknię, zachłannie obejmuje jej blade ciało swoimi ludzkimi ramionami i rozpościera olbrzymie, czarne skrzydła, tak, że obejmują ich dwoje, łoże, całą komnatę. Brakowało mi tchu i nie mogłam się ruszyć. Miarowy łopot skrzydeł rozpościerających się i składających, omiatających ściany komnaty, ogłuszał mnie i pozbawiał woli walki. Dopiero gdy zobaczyłam – pomiędzy jednym rozpostarciem skrzydeł a drugim – że król orłów podnosi głowę znad ciała królowej i wysuwa kły, by je zatopić w jej szyi, drgnęłam, by go z niej skopać, złapać za skrzydła i ściągnąć, a przynajmniej na chwilę powstrzymać. Gdy z wysiłkiem dźwigałam się na kolana, w kolejnej odsłonie czarnych skrzydeł zobaczyłam jej twarz i ten widok kazał mi znowu osunąć się w kąt.

W jej twarzy znów było życie.

II

Po dziesięciu latach wciąż byłam na dworze. Nie znalazłam dla siebie mężczyzny, ani pośród krajan, ani pośród ludzi-orłów i nie urodziłam własnych dzieci, więc nie miałam pretekstu, by opuścić królową. Kiedy na nią patrzyłam, czułam gorycz, że żyję jej życiem, zamiast własnym. Bałam się, że moje zazdrosne spojrzenie może zaszkodzić dzieciom, wszywałam więc w jej suknie skrawki czerwonej wstążki, kie-

dy była w ciąży, a każdemu dziecku tuż po narodzeniu zawiązywałam na rączce czerwoną nitkę. Królowa mi ufała, więc pozwalała to robić, choć nie wyjaśniałam, że chodzi o moje spojrzenie. Chyba zresztą wiedziała, kobieta zawsze wyczuje kwaśny zapach zawiści i hoduje w nim własne poczucie wyższości. A może nie była to kwestia zaufania – między nami zawsze miało ono znamiona usługi – ani poczucia wyższości, może chodziło o to, że dla dzieci zrobiłaby wszystko. Kiedy po raz pierwszy zaszła w ciążę, całe dworskie życie uległo zmianie. Dobro dziecka, jego zdrowie, komfort, dostarczany mu przez pępowinę pokarm, znaczenie ruchów, jakie wykonywało w rosnącym brzuchu – to wszystko stało się sprawą najwyższej wagi państwowej. Potrafiła spędzać całe godziny z rękami na brzuchu i spojrzeniem skierowanym gdzieś do wewnątrz. Dała Królowi-Orłowi pięciu synów i pięć córek i chociaż pewne czynności przeszły w rutynę, fakt, że to dzieci zajmowały teraz pierwsze miejsce w królestwie, nie tylko nie spowszedniał, ale wręcz się umocnił i stał się uświęconym elementem rzeczywistości. Macierzyństwo odebrało królowej młodzieńczą kruchość, ale nie odebrało urody. Pełna, syta i mocno stąpająca po ziemi, olśniewała teraz blaskiem samozadowolenia i spełnienia. Potrafiła – przy całej służbie i gościach zaproszonych na śniadanie – odebrać płaczące dziecko niedoświadczonej piastunce, wyciągnąć z sukni olbrzymią pierś i uspokoić je swoim pokarmem. Publiczne karmienie stało się zresztą wyczekiwanym rytuałem. Z całego dworu zbiegały się kobiety i przez kilka minut zamierały w ciszy, przerywanej jedynie szeptami zachwytu.

Wiedziałam, że mogłaby się beze mnie obejść. Nie znałam się na dzieciach, a wszystko inne było teraz nieważne. Ale wciąż szukałam potwierdzenia, że się przydaję, bo nie miałam dokąd pójść. Czuwałam więc nad wygodą i bezpieczeństwem królowej, dobierałam służbę, przyjmowałam skargi w sprawach sporów między ludźmi a ludźmi-orłami; każdy dzień miałam wypełniony obowiązkami. Dlatego mimo wszystko zdziwiłam się, kiedy Król-Orzeł obarczył mnie misją wymagającą długiej podróży.

– Tyle lat jesteśmy razem – powiedział gniewnie do królowej – a ty ciągle nie dałaś mi dziedzica.

– Dałam ci dziesięcioro dzieci – odparła tym samym tonem – a ty w żadnym z nich nie widzisz dziedzica?

Potrząsnął posępnie głową. Król-Orzeł bardzo kochał dzieci, ale w żadnym nie odnalazł tego, czego szukał. Każde oglądał tuż po urodzeniu z uwagą – podnosił za łapy do góry na wysokość swoich oczu, rozpościerał ich zakrwawione skrzydełka, oglądał złociste ciałka ze wszystkich stron, nasłuchiwał płaczu, i wreszcie z ulgą odkładał do kolebki. Nie mogłam zrozumieć, czego szukał i czego z ulgą nie znajdował. W końcu był najodważniejszą istotą, jaką kiedykolwiek spotkałam, i naprawdę pragnął dziedzica. Czego się więc obawiał? Nie wiedziałam. A on za każdym razem oddychał z ulgą, że to jeszcze nie ten, jeszcze nie teraz.

– Musisz wyruszyć na poszukiwania – zwrócił się do mnie tego dnia. – Już czas. Kiedy go zobaczysz, będziesz wiedziała.

– Nie lepiej, żeby to jakiś człowiek-orzeł go szukał? – ośmieliłam się zapytać, ale decyzja już zapadła, Król-Orzeł wziął w ramiona dwoje najmłodszych dzieci i łaskotał je koniuszkami swoich skrzydeł. Myślałam, że już nic mi nie powie, ale on jeszcze rzucił przez ramię:

– Wiem, że to musisz być ty. Zobaczyłem cię w moich snach i zobaczyłem jego.

Nigdy nie śniłam i nie rozumiałam wagi, jaką ludzie-orły przywiązywali do swoich snów, ale oni zdawali się je traktować jak realną część życia. Nasi już zaczęli przejmować różne ich zwyczaje, a śnienie przy-

jęło się jako jeden z pierwszych.

Wyjeżdżałam niechętnie. Rzadko opuszczałam dwór, a od nastania królestwa ludzi-orłów właściwie nigdy. Zamek był moim osobistym królestwem, mikrokosmosem, w którym zamykało się całe moje istnienie, przekroczenie jego granic narażało mnie na nieznane niebezpieczeństwo. Poza tym zadanie było nieokreślone, a ja lubiłam precyzyjnie wytyczone ścieżki, jasne zadania i klarowne instrukcje. Sama takie wydawałam służbie. Król-Orzeł odmówił jednak dalszych wskazówek. Kazał znaleźć swojego dziedzica, ale kto to miał być? Gdzie go znaleźć? Czego Król szukał i nie znalazł u swoich dzieci, a co mam znaleźć u dziedzica? Jak go rozpoznać? I – co mu powiedzieć? Sprowadzić go na dwór, czy wychować go tam gdzieś, gdzie go znajdę? Odchodząc, dopytywałam na różne sposoby. "Idźże już" powiedział zniecierpliwiony Król-Orzeł, odwracając się do mnie skrzydłami. Zawsze wydawał mi polecenia i odwracał się, nie zostawiając przestrzeni na negocjacje i zarazem odsłaniając swoją najsłabszą część, co irytowało mnie bardziej niż brak odpowiedzi. (O tym, że człowieka-orła można zabić, przecinając spojenie między skrzydłami – nie może wówczas nimi poruszyć i umiera po kilku dniach – powiedział mi ich łucznik. Patrzyłam kiedyś na trening z górnego okna zamku; ochotnicy ustawili się na błoniach, wpatrzeni z oddaniem w orlego łucznika, ja również nie mogłam oderwać od niego wzroku. Nie było w nim nic z wojskowego, poruszał się leniwie i sprężyście zarazem, chodził między swoimi uczniami, poprawiał ich postawę, naciągał cięciwy i demonstrował strzał z niedbałością i znawstwem. Był piękny ze swoją ciemną twarzą, złotymi włosami i skrzydłami, z których prawe, nieco opuszczone, omiatało ziemię. Wyczuł mój wzrok i podniósł głowę, przesłał mi pozdrowienie otwartą dłonią. Nawet ten gest miał w sobie wolność. Kiedy skończyłam wieczorny obchód zamku i wróciłam do siebie, czekał na mnie, a potem przychodził przez kilka miesięcy, póki nie znalazł sobie żony. Za każdym razem, kiedy Król-Orzeł odwracał się do mnie plecami, wspominałam łucznika i jego słowa o tym jak można zabić orła.) Nie wiedziałam, czy gest Króla wyrażał zaufanie czy pogardę i niewiarę w to, że mogłabym podnieść na niego rękę. Może jedno i drugie. Odszedł. Królowa wzruszyła bezradnie ramionami, skinęła mi dłonią i pochyliła się nad najmłodszym dzieckiem.

Tak jak wcześniej nie miałam po co odchodzić, tak teraz nie miałam po co zostać.

III

Pod wysokim, starym murem z białych kamieni stał tłum nagich mężczyzn. Wyglądali żałośnie, ze swoimi bladymi, żółtawymi ciałami, bezradnymi brzuchami, kościstymi kolanami, obwisłymi członkami. Grubi, chudzi, wysocy, niscy, młodzi i starzy – mimo różnic wszyscy wyglądali tak samo, wszystkich otaczała aura wstydu, nie wywołanego nagością, ale wstydu bycia sobą. Ten wstyd mi się udzielił, wstydziłam się i żal mi ich było, bo najwyraźniej czekali tu na śmierć. Życia nie było w nich ani skry, ani woli życia, tylko żałość, wstyd i oczekiwanie na koniec. Nie wiedziałam, że jest takie miejsce w naszym królestwie, że tak się może stać – oni tu będą czekać, nadzy i żałośni, aż życie z nich wycieknie. Miałam wrażenie, że dzieje się to w imię prawa, ale, choć znałam całe prawo królestwa, tego nie znałam.

Po prawej, oddalony od innych, stał ktoś, kto się jednak odróżniał. Kiedy go już dostrzegłam, wszyscy inni zlali się w nierozróżnialne stado. On nie miał nawet tego żałosnego męskiego ciała skazanego na zagładę - pokrywała go ciemnoszara skorupa z liszajami a może łuską; sylwetka była cienka, wydłużona; nie miał ust, a oczy całe wypełnione były czernią. Kiedy na mnie spojrzał, zrozumiałam, że to jego szuka-

łam. Podeszłam bliżej, smród rozkładu uderzył mnie w nozdrza.

– Król-Orzeł kazał mi cię odnaleźć – powiedziałam.

Nie wiedziałam, czy mnie zrozumiał, nie wiedziałam nawet, czy mnie usłyszał. Z bliska zobaczyłam, że jest bardzo słaby, chwieje się, jego nie-ciało odmawia posłuszeństwa. Nagle ból miękko tąpnął mnie w kark, w moich myślach pojawił się klarowny obraz – tobogan związany z gałęzi – pojawił się, zamigotał, przybladł i zaraz zniknął. Spojrzałam w oczy szarej istocie, obraz pojawił się znowu i zniknął jeszcze szybciej. Jednocześnie ogarnęło mnie straszliwe, nieznane mi wcześniej zmęczenie. Odwróciłam wzrok, otrząsnęłam z siebie słabość. Poszłam szukać gałęzi.

Potem musiałam mu pomóc położyć się na toboganie przygotowanym według przesłanej instrukcji. Brzydziłam się go dotknąć, nie-ciało miał lepkie, szara powłoka łuszczyła się i rwała w strzępy; stracił równowagę, kiedy go kładłam i łupnął głową w tył, smoliste oczy przykryły łupiny bezrzęsych powiek. Kiedy padał, gałąź otarła jego twarz, teraz szary płat oderwał się od policzka. Przyklękłam i ostrożnie próbowałam go opatrzeć, nie dało się jednak. Znowu w myślach przekazał mi obraz, teraz przedstawiał on moją rękę oddzierającą ów płat. Wyciągnęłam dłoń, szarpnęłam, rozległ się obrzydliwy trzask rozdzieranej materii. Spod szarej powłoki widać było skórę, prawdziwą ludzką skórę. Przeraziłam się, a potem znowu ogarnęła mnie słabość, przenikająca aż do szpiku kości. Odczołgałam się dalej, dalej od niego, dalej od jego śmierci, póki znów nie poczułam swojej siły. Jak zdołam go przeciągnąć gdziekolwiek, pomyślałam z przerażeniem, jeśli ciągle będzie mnie zarażał swoim umieraniem, i po co on Królowi, po co jego trup, przecież nie zniesie długiej podróży. Szłam tu trzydzieści trzy dni, a nie miałam obciążenia, teraz podróż potrwa co najmniej dwa miesiące. Póki będzie żył, będę musiała go karmić, zdobywać więcej pożywienia. Nagle tknęła mnie myśl – jak? Jak go karmić, skoro nie ma ust, może to dlatego jest taki słaby, może umiera z głodu. Wyjęłam z podróżnej torby bukłak z mlekiem, znowu ostrożnie podczołgałam się do toboganu, teraz w myślach miałam obraz mgły, szarej mgły, czułam, że za nią jest jego słabość i rozumiałam, że próbuje mnie przed nią obronić. Wzmocniłam ten obraz, przestał migotać, utrwalił się na tyle, że mogłam się do niego zbliżyć. W ranę powstałą z rozerwanej powłoki wlałam odrobinę mleka. Rozwarł powieki, przechylił głowę. Nasłuchiwałam, z bardzo daleka, z głębin, usłyszałam cichecichutkie chłeptanie. Więc nie umrze z głodu, przynajmniej tyle. Nakarmiłam go ostrożnie, potem przywiązałam pasami do toboganu i ruszyłam w drogę; nie chciałam zostawać w tym miejscu ani chwili dłużej.

Szłam przez kilka godzin; co jakiś czas dosięgały mnie fale słabości i musiałam się zatrzymywać, ale potem ruszałam dalej. Wokół czuć już było wiosnę, zapadający półmrok pachniał słodką wilgocią pękających pąków. Dotarłam do miejsca, które pamiętałam z drogi w tamtą stronę, i ponieważ księżyc już wschodził, a Wenus rozświetliła mu drogę, postanowiłam znowu zatrzymać się tu na noc. Nakarmiłam szarą istotę, okryłam ją swoją chustą, wygrzebałam sobie jamę w piaszczystej skarpie przerośniętej korzeniami brzozy, skuliłam się w niej i poddałam się ciemności, która ogarnęła moje myśli.

IV

Obudził mnie przeraźliwy pisk. Nagłe przypomnienie dnia – biały mur, mężczyźni czekający na śmierć, szara istota, droga – uderzyło we mnie jak pięść. Wokół siebie zamiast ziemi czułam miękkie

ciepło. Natychmiast otrzeźwiałam, a przerażenie ścięło mnie od środka. W świetle księżyca padającym przez otwarte okna zobaczyłam, że jestem w królewskiej sypialni.. Leżałam w wielkim łożu, na sobie zamiast dżinsowych spodni, skórzanej kurtki i ciężkich butów miałam jedwabną koszulę odsłaniającą ramiona.

Popiskiwanie ucichło, zaraz potem boczne drzwi – drzwi do sypialni dzieci – otworzyły się i stanął w nich Król-Orzeł. Naciągnęłam prześcieradło aż pod brodę, chciałam się wytłumaczyć, ale nie wiedziałam, co powiedzieć – sama przecież nie wiedziałam, jak się tu znalazłam.

– Zły sen – mruknął, ziewając. – Śniło jej się, że wyjechałaś bardzo, bardzo daleko, w jakieś dziwne miejsce. Nie umiała tego opisać, poproszę jutro Tłumacza, żeby z nią porozmawiał.

Milczałam; nie mogłam zrozumieć, dlaczego jeszcze mnie nie rozpoznał. Przetarł oczy i patrzył wprost na mnie, uśmiechając się teraz. Szare oczy lśniły w świetle księżyca. Miał twarz dowódcy łuczników, który kiedyś do mnie przychodził, i jego tors. I skrzydła – prawe nieco niżej, od używania łuku. To był on, jednocześnie to był on i Król-Orzeł. Kręciło mi się w głowie.

- Nie martw się – powiedział, kładąc się obok i wyciągając do mnie ramiona. Skrzydła zaszeleściły, rozprostował jedno, zasłoniło czernią okno, a potem znowu złożył, tak że światło księżyca znów padało na jego postać. Przyciągnął mnie do piersi, przytulił do siebie i westchnął sennie.

- Nie martw się – powtórzył sennie. – Jutro dowiemy się, co to znaczy, na razie śpijmy.

Pogłaskał mnie po głowie; czułam jego zapach, który już prawie zdołałam zapomnieć, mimo przerażenia na nowo wzbudził we mnie tęsknotę. Odszukał moją rękę zaciśniętą w pięść.

- Co tam masz – mruknął, rozwierając mi dłoń.

Na pościel rozsypała się ziemia, ziemia spod korzeni brzozy, w których zasnęłam.

- Znowu jakieś ludzkie zabobony? – ziewnął, nie otwierając oczu. Skrzydłem zmiótł ziemię na podłogę, zamknął moją brudną rękę w swojej dłoni i znieruchomiał, zapadając w głęboki sen. Mnie również ogarnęła nagła senność, myśli i uczucia osłabły i odpłynęły; oparłam czoło o pierś Króla-Orła i osunęłam się w ciemność.

Kiedy się obudziłam, byłam sama. Okno było na oścież otwarte, słyszałam trzepot skrzydeł. Zerwałam się z łóżka, potykając się i przydeptując długą koszulę podbiegłam do toaletki, zajrzałam w lustro. W tafli zobaczyłam królową.

I zemdlałam jak ona.

- … ziemię. Przyniosłem to, co zostało – usłyszałam zmartwiony głos Króla-Orła. – Widzisz?

- Budzi się - powiedział cicho ktoś inny.

Otworzyłam oczy. Leżałam na gęsto utkanych gałęziach, nad sobą widziałam błękitne niebo i strzępiące się chmury, obok czułam Króla. Przed moimi oczyma ukazała się znienacka obca twarz.

Byłam w gnieździe Tłumacza.

Ani ja, ani królowa nigdy wcześniej tu nie byłyśmy. Gniazdo znajdowało się w górach, ludzie-orły często przylatywali do Tłumacza, by uzyskać objaśnienie swoich snów, czasem brali ze sobą ludzi, wielu naszych bało się jednak wysokości – i ja także.

Na twarzy poczułam miękkie pióra, odwróciłam głowę – na łapach Króla siedziała moja córeczka, ze śliczną, złotą twarzą swego ojca i moimi czarnymi oczami. Oczami królowej. Głaskała mnie swoim skrzydłem.

- Obudziłaś się, mamusiu! – krzyknęła. – Ja już opowiedziałam Tłumaczowi swój sen, teraz ty musisz!

Wyciągnęłam rękę, dotknęłam jej gładkiego policzka.

- Dobrze się czujesz? – zapytał Król-Orzeł, kładąc mi dłoń na czole. – Przestraszyłem się, kiedy cię znalazłem bez przytomności.

Pochylił się i mocno pocałował mnie w usta; oczy miał pociemniałe, zaniepokojone.

- Najlepiej będzie, jeśli zostanę teraz z królową sam – odezwał się Tłumacz.

Król-Orzeł wstał i wziął naszą córeczkę za rękę.

- Polatamy sobie teraz nad szczytami – powiedział do niej łagodnie. Skinęła główką, przesłała mi buziaka i obydwoje wzbili się w powietrze, rozpościerając skrzydła. Nie widziałam w życiu nic piękniejszego i nagłe wzruszenie ścisnęło mi gardło.

- Nigdy nie była tu Wasza Wysokość – powiedział po chwili Tłumacz.

Potrząsnęłam głową.

- Nie była Wasza Wysokość ciekawa?

- Nie jestem… - wyznałam, a łzy nagle polały mi się z oczu. – Nie jestem królową.

Zapadła cisza.

- A kim jesteś? – zapytał spokojnie Tłumacz, zasiadając naprzeciwko mnie.

- Służącą królowej.

- A gdzie wobec tego jest królowa i dlaczego ani mąż, ani dzieci nie zauważyli, że nie jesteś nią?

- Nie znam odpowiedzi – rozszlochałam się, i z niezrozumienia, co się wokół mnie dzieje, i z żalu, że to życie jest niemoje. – Ja… Byłam zupełnie gdzie indziej… Wypełniałam misję… I obudziłam się w zamku, w królewskim łożu.

Tłumacz mierzył mnie spokojnym wzrokiem. Jego skrzydła były śnieżnobiałe, a skóra znacznie jaśniejsza niż pozostałych ludzi-orłów. I był stary, był pierwszym starym Orłem, jakiego widziałam.

- Opowiedz wszystko ze szczegółami, spokojnie.

Otarłam dłonią łzy.

- Ponad trzydzieści dni temu…

- Nie – przerwał mi. – Opowiedz wszystko, co pamiętasz z życia służącej.

- Wszystko? – zdziwiłam się. – To zajmie wieki, mam prawie czterdzieści lat.

Uśmiechnął się.

- Zobaczymy. Powiedz wszystko, co pamiętasz.

Zastanowiłam się, wzięłam głęboki oddech i zaczęłam mówić.

- Jedenaście lat temu umarł stary król. Zorganizowałam pogrzeb, opiekowałam się królową. Rok po pogrzebie przyfrunęliście i Król-Orzeł objął rządy. Królowa co roku rodzi mu dziecko. Ja rządzę dworem, pilnuję służby, rozsądzam spory. Ponad miesiąc temu Król wysłał mnie, żebym znalazła dziedzica. Wędrowałam po całym królestwie, wszędzie widziałam ludzi szczęśliwych i żyjących w dostatku, serce rosło, kiedy na nich patrzyłam. Wreszcie znalazłam się w dziwnym miejscu, pod białym murem, gdzie wielu mężczyzn czekało na śmierć, jeden był inny, ciało miał pokryte szarą powłoką. Nie miał ust. W myślach pokazywał mi, co mam robić. Powłoka pękła i oderwałam kawałek, pod spodem miał ludzką skórę. Nakarmiłam go, chłeptał mleko, więc pod powłoką musiał jednak mieć usta, i pociągnęłam go dalej na toboganie. Wieczorem zatrzymałam się na nocleg, zasnęłam w jamie. I obudziłam się w królewskim łożu.

- Z ziemią w garści – uzupełnił.

Kiwnęłam głową.

- Widzisz, nie zajęło to wieków. Masz prawie czterdzieści lat, a pamiętasz tylko jedenaście ostatnich?

Teraz mnie to też uderzyło. Zastanowiłam się – nie, nie mogłam sobie przypomnieć nic sprzed śmierci starego króla.

Tłumacz pokiwał głową.

- Coś jeszcze się wydarzyło w tym czasie?

“Łucznik” przemknęło mi przez głowę.

- Opowiedz, wszystko jest ważne – powiedział łagodnie.

Opowiedziałam więc historię mojego smutnego romansu.

- Dowódca łuczników, trenujący waszych ludzi? – upewnił się.

Potwierdziłam.

- To król jest dowódcą łuczników i to on trenuje waszych ludzi, od samego początku – powiedział powoli. – Na dworze nigdy nie było służącej, o której mówisz. Znam dobrze wszystkich dworzan i waszą

historię, widziałem cię i w snach Króla-Orła i na dziedzińcu zamku, czuję… wiem… wiem, że jesteś królową i zawsze nią byłaś. Znam twoje oczy. To ty pochowałaś starego króla, ty poślubiłaś Orła i rodzisz mu dzieci. To ty zarządzasz służbą i rozsądzasz spory.

Znowu kręciło mi się w głowie, gniazdo tłumacza chwiało się teraz, pojedyncze gałązki odrywały się z traskiem i spadały w przestworza.

- Król-Orzeł nie potrzebuje dziedzica – kontynuował Tłumacz, nie spuszczając ze mnie smutnych oczu. – Po jego śmierci rządy obejmie rada stworzona z dzieci. Ledwie tydzień temu był tutaj, opowiadał swój sen – to był dobry, szczęśliwy sen – i mówił o tobie, byłaś wtedy na dworze, nie na żadnej misji. Gdyby kogokolwiek taką misją obarczył, na pewno wcześniej zasięgnąłby mojej rady.

- Więc kim jestem? – szepnęłam bezradnie.

- Pytanie nie brzmi, kim jesteś, ale kim pragniesz być.

Trawiłam jego słowa, wzrok podążył za sylwetkami mego męża i dziecka, szybującymi w promieniach słońca.

- Ale to i tak niewłaściwe pytanie – westchnął Tłumacz. – Pytanie brzmi bowiem, czy jesteś służącą, której śni się, że jest królową, czy królową, której śniło się, że jest służącą?

- Ja nie śnię – powiedziałam. – Nigdy.

- Słyszałem. Ale dowody temu przeczą. Nie musisz wiedzieć, że śnisz, żeby śnić. Ale najważniejszym dowodem jest ziemia w twojej dłoni, która mówi nam, że żadna z tych możliwości nie jest prawdziwa, ten decydujący dowód mówi bowiem, że…

Gniazdo znów zachybotało, teraz jeszcze gwałtowniej, potoczyłam się aż na jego skraj. Mąż i córka nadlecieli, przyzwani moim wzrokiem. Król-Orzeł objął mnie mocno. Dziewczynka chwyciła za koszulę, przytuliła się do kolan. Ogarnął mnie żal tak wielki, że gorące łzy znowu popłynęły strumieniem.

- Że co? – wyszlochałam, czekając na wyrok.

- Że – i naprawdę bardzo przykro mi to mówić, bo dotyczy to również mnie – że wszyscy jesteśmy tylko snem.

Mocnym uderzeniem skrzydła oddzielił mnie od rodziny i wypchnął z gniazda.

Słyszałam krzyk i łopot skrzydeł, czułam łapiące mnie ramiona, wczepiające się w ciało pazury i słabnące pocałunki.

V

- Mamo, mamo, obudź się!

Podniosłam twarz, całą we łzach. Śliczna dziewczynka o złotej cerze i szarych oczach tarmosiła mnie za ramię.

- Szybko, wstawaj! Tata wrócił, dzwoni do drzwi, a ja nie mogę dosięgnąć zamka! Szybkoooo!

Skakała, jakby chciała podfrunąć i naprawdę przez ułamek sekundy za każdym razem unosiła się kilka centymetrów nad grubym materacem.

- Szybko!!! – pociągnęła mnie za rękę.

Zepsuty dzwonek terkotał i terkotał cichutko, potem zamilkł.

Wreszcie do mnie dotarło, lęk ścisnął mi żołądek, a nadzieja uderzyła gorącą falą do głowy. Potykając się o skraj koszuli nocnej pobiegłam do przedpokoju, za sobą słyszałam tupot bosych stópek. Serce dudniło mi w gardle, kiedy otwierałam drzwi.

Milczeliśmy, bo trudno coś powiedzieć po tylu miesiącach.

Julka z radosnym piskiem rzuciła się na swojego tatę; podniósł ją z wysiłkiem – widać było, że jest bardzo słaby – i obsypała jego bladą twarz pocałunkami.

- Wejdź – powiedziałam wreszcie i odsunęłam się na bok.

Zrzucił swój stary plecak na podłogę i przytrzymując Julkę jedną ręką, wyciągnął do mnie

drugą. Drżała i już miała opaść bezsilnie, kiedy podeszłam, obejmując go i pozwalając się objąć.

- Pewnie jesteś głodny – powiedziałam. – Chodź, nakarmimy cię.

- Tatusiu, gdzieś ty był?!... – zaśmiała się Julka.

Zawisła nad jego plecami i zaraz się wyprostowała, triumfalnie podnosząc orle pióro, które się uczepiło swetra.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

intro, dodano 07.03.2017 18:37

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.